

Teresa Paryna



Urodziła się w Sońnicy Jarosławskiej w rodzinie przesiedleńców z miejscowości Czyszki koło Lwowa, mieszka w Przemyślu. Autorka 20 zbiorów wierszy oraz laureatka wielu konkursów poetyckich. Autorka felietonów, opowiadań, recenzji poetyckich i artykułów prasowych. Należy do rzeszowskiego oddziału Związku Literatów Polskich.

Przy porannej kawie

Biegniesz ku mnie
jasną akwarelą.
Wieżami katedr
muskasz podbródek nieba.
Przecierają oczy
wille arystokratki
zaplątane w mgłę.

Na sędziwym murze
linie papilarne stuleci
i brutalnie – współczesne graffiti.
Stare bramy
otwierają swój świat,
gdzie liszaje podwórek,
wieczne pranie,
wieczny wiatr.

Budzisz Niedźwiadka w Rynku
zwołujesz dzikie gołębie.
W dolinie Sanu rozkładasz
swój tysiącletni bazar,
by dalej pobiec
klawiaturą mostów,
szarym brukiem,
zielonym zboczem.

Od lat tak wpadasz na poranną kawę
z naręczem pełnym gwaru
– tyle tego – mówisz,
by starczyło na wiersz...

Na zamkowym wzgórzu

Stoi w majestacie wieków,
przypudrowany
mgiełką współczesności.

Wsluchuję się
w muzykę pokoleń,
w szelest prochów,
w echo tarabanów.
Rozmawiam z korowodem cieni.
Liczę na spotkanie z Białą Damą,
która jak w każdym szacownym zamku
od wieków tu mieszka.

A na deskach „Fredreum” –
nieśmiertelny Fredro
wciąż zadziwia mądrością i sztuką.
Kłaniam się Mistrzowi
nieporadnym wierszem.
Dzisiaj, kiedy świat próbuje
stanąć na głowie
jakże cenna jest twoja nauka.

Aktorom zostawiam
listek uznania, płatek wzruszenia,
by odejść do starego parku,
gdzie przysiadła jesień.
Gdzie na spróchniałej ławce
wyrzeźbione serce.
Pomilczymy sobie.
Nazbieram kasztanów i wierszy
i pójdziemy dalej –
przecież po drodze nam.

Gołębiarka

Nie potrzebuje specjalnych anonsów –
każdy w mieście ją zna.

Zgięta wół, popycha wózek,
na którym wiezie
cały swój świat
nie taki znów ciężki
skoro codziennie może go obwozić
krzywizną ulic,
pochyłością czasu,
stromizną losu.
I nie taki biedny
skoro wykarmić się da
dzikie gołębie pod mostem.
Bo przecież
tak niewiele potrzeba:
pary rozczłapanych butów,
jakiś strzęp chustki,
kromki chleba.

Czasem się podniesie,
by posłać ku niebu
gołębie siwych oczu
albo zapyta o godzinę.

Skąd może wiedzieć,
że właśnie
wprowadzam ją na piętro poezji...

Janina Ataman



Urodziła się w Krośnie, mieszka w Rzeszowie. Z wykształcenia plastyk i instruktor teatralny. Jej poezja tłumaczona była na język słowacki, ukraiński i turkmeński. Jest członkiem Związku Literatów Polskich. Autorka pięciu tomików poetyckich. Laureatka wielu nagród literackich.

Matka

moja matka
mogłaby być
nauczycielką pokory
świadomą swojej wartości

wyciszona
lubiła barwnie opowiadać
minimalistka
posiadaczka licznych zalet

jak ona potrafiła
to wszystko z sobą pogodzić

moja matka
perła
w szparze podłogi

Mój ojciec

ojciec nigdy nie klócił się
z moją matką
nigdy nie przyszedł
do domu pijany
nigdy nie dostałam od niego klapsa
ani cukierka
nie trzymał mnie na kolanach

mojego ojca
przed moim urodzeniem
wywieziono do obozu

któregoś dnia
przyszło zawiadomienie
że nie żyje

jako dziecko
nie mogłam pojąć
jak mógł umrzeć ktoś
kogo nie było

Pochwała starości

w pewnym wieku
wszystko wypada

wypada
dobrze żyć z ludźmi
a klócić się
z bogiem

albo odwrotnie

wypada
trzasnąć drzwiami
i wyjść
z tego balu

albo wymknąć się
po angielsku

i zagrać komus
na nosie

Człowieczy los

siła sprawcza
bezsilna wobec
mego losu

jestem sama

nade mną
niebo
pełne gwiazd

idę... dokąd...

Babcia

babcia
modliła się do świętych
i czytała Marksa

któregoś dnia stwierdziła
ten Marks łebski facet
i równy gość
– posiłki spożywał
przy jednym stole ze służbą

szkoda tylko
że niedowiarek

Mieczysław A. Łyp



Poeta, krytyk literacki, edytor, fotografik, aktywny promotor kultury i sztuki Podkarpacia, b. prezes rzeszowskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Autor kilkunastu książek poetyckich. Laureat Złotego Pióra (1992, 2010) i wielu ogólnopolskich konkursów poetyckich.

Między latem a jesienią

Rudzieją moje ścieżki
galopują jak siwe konie
ku siwym mgłom jesieni
ku zamieciom kasztanowych liści
ku zamieciom śnieżnych wiatrów

Nad wzgórzami Rzeszowa
zakwitają ostatnie obłoki lata
zmierzchy zacierają zamazują
krajobraz Słociny
ze stadem dzikich gęsi

Żurawie z obrazów Chełmońskiego
ciągle przeglądają się
w naszych źrenicach
– nie tracą swoich znaczeń
– tłumaczy tylko tęsknotę
za tym co liczy się najbardziej...

Covid
nie uznaje
ani piękna lotu żurawi
ani piękna tkwiącego w człowieku
ani piękna wolności

Rzeszów, 10.09.2021 r.

Ocaleni w pamięci

Covid
przepędził na dalekie pola
przekwitających chryzantem
moją pamięć o Was

Moja dusza
rozpościera jednak
płótna pamięci

Pastelowymi kolorami
maluję na nich
Wasze portrety
– w dalszym ciągu
wyraźne i czytelne

Delikatnie też rozpościeram
blask błękitu nieba
z czasów Waszej
i mojej świetności

Mam kilka płócien
oprawionych w drogie ramy
Twarze tam zapisane
świecą blaskiem
najszlachetniejszych kamieni świata

Rzeszów 2021 r.

Między światami

Pamięci Mirosławy Łęskiej

Słyszę śpiew Moniuszkowców
u Franciszkanów w Radomsku

Twoje imię
należy już do muzyki
błękitnego przestworu

Tamte kolędy
były nie odczytywaniem nut
a światła gwiazd
odczytywaniem blasku płonących choinek
odczytywaniem naszych człowieczych losów
zawieszonych na skrzydłach pyzatyh Aniołów
u bram wciąż pulsującej wieczności
w czas tamtych
grudniowych śnieżnych nocy

I jeszcze
wiśniowy sad
ciotki Kasyldy z ulicy Moniuszki
w upale lata

Do dziś
Twoje słowa
„Ja znałam pana ciotkę Kasyldę”
grają we mnie
czułym
wdzięcznym graniem
jak skrzypki Lenartowicza

Tak można odnaleźć
ziarenka których szukamy
i tak można odnaleźć drugiego człowieka

Rzeszów – Radomsko, 22.02.2021 r.

Monika Luque-Kurcz



Urodzona w 1977 r. w Rzeszowie, mieszka w Ropczycach. Poetka drukowała w pismach literacko-kulturalnych, na internetowych portalach i w almanachach. Tomik poetycki *Portret Ubu* (2021) jest jej debiutem książkowym.

Katylina i gliniana misa

pamięci Dory Maar

furia nie była weganką
kiedy mówił „bierzcie i jedzcie
oto ciało moje” żywiła się nim
czerpała z jego mięśni i ścięgien

tej drugiej pozwalał na więcej
jadła mu z ręki

każdego wieczoru obmywałam dłonie
by nocą wydawać się śmierci
na nowo

Płomienie

patrz na siebie
ukradkiem
jedna źrenica
przegląda się
w drugiej
między nimi
płonie most

W ogrodzie

dziadek bieleł pnie jabłoni
gazonym wapnem
nie wolno dotykać zwykły mawiać
ja lubiłam malować powieki
wskazującym palcem
na sznurach między drzewami
wisały koszule
choć ojciec od pięciu lat nie żył

myślałam że wiatr
wytrząśnie go w końcu
z któregoś rękawa

listki zwijała mszyca
pies szurał łańcuchem
o budę

za wysokim progiem
sień kryła wspomnienia
stary pędzel do golenia
w pękniętej szklance
jakby stała tu od wczoraj

w nierównościach cegieł
byle jak doklejonych
do drewnianych bali
pająki jak śmierć
szczelnie wypełniały
każdą próżnię
cierpliwie czekając na ofiarę
tylko moja była bezkrwawa

Rachela

znów jestem żydówką
na obskurnych przedmieściach
paryża
utykam na lewą nogę
wypadają zawzione włosy
mark nie lubi

gdy nazywam go żydem wolałby być
rezolutnym wolandem
lub chociaż czarnym kotem
ma taką bladą skórę

byliśmy kiedyś bardzo blisko

wierzysz w takie rzeczy
pytam po raz setny

nie odpowiada dopija tylko tę swoją
pieprzoną herbatę i czyta
o rewolucji francuskiej pożarach
i innych kataklizmach

wszystko co jest we mnie
te przypląwy

zdarzają się nam
jakbyśmy byli w innych wcieleniach
kazirodujących związkach
jest od zawsze wypalony na mojej skórze
odciśnięty jak krew na sztandarze
jak kamień
wbity w suchą ziemię